

Meteory

AUTOR: ERYK MACIEJOWSKI

Twórcy spektaklu *Czuję wstyd, żyjąc w takim świecie* robią, co mogą, żeby odbrązować szkodliwy mit głodującego artysty-geniusza, a jednocześnie mitologizują i gloryfikują Stanisławę Przybyszewską, składającą siebie w ofierze sztuce.

■ Najlepsze historie podobno pisze życie i to ono stwarza najciekawszych bohaterów. Z jednej strony jest więc on: uznany artysta, członek cyganerii i młodopolski *enfant terrible*, którego nazwisko przemknęło po niebie europejskiej kultury jak meteor. Z drugiej strony ona: niedoceniona, zapomniana artystka, która zmarła w straszliwej biedzie, całkowicie oddana pracy nad dziełem, którego wielkości nikt prócz niej nie widział i dopiero po śmierci spotkało ją uznanie. Ojciec i córka. Nawet nazywali się niemal tak samo, ale chociaż oboje byli artystami, to dzieliło ich w zasadzie wszystko.

Stanisław i Stanisława Przybyszewscy, bo o nich mowa, są tak wyraziści, że gdyby nie istnieli naprawdę, to trzeba by ich było wymyślić. Doskonale nadają się do tego, by za ich pomocą opowiedzieć, co właściwie znaczy być artystą i co z tego wynika lub wynikać powinno – i na to właśnie zdecydowali się reżyser Wiktor Rubin i dramaturżka Jolanta Janiczak w najnowszym spektaklu *Czuję wstyd, żyjąc w takim świecie*, wystawionym w gnieźnieńskim Teatrze im. Aleksandra Fredry. Temat jest ważny i wciąż aktualny: ciągle trwa debata o warunkach pracy artystów, o ich powinnościach i prawach. Stare utopie odchodzą do lamusa, a przyszłość pozostaje nieznana. Tkwimy w strefie pośredniej, w tybetańskim *bardo*, co twórcy omawianego spektaklu wyczuwają i o czym nie wahają się głośno mówić.

Sam pomysł przybliżenia trudnej doli artysty na przykładzie postaci Stanisławy Przybyszewskiej (Joanna Żurawska) jest kapitalny i bardzo nośny. Przybyszewska ogniskuje w sobie wszystkie problemy, z jakimi mierzy się

twórca w każdej epoce: brak godziwych warunków pracy, brak bezpieczeństwa finansowego, odrzucenie, niezrozumienie, problemy zdrowotne i psychiczne, przerost ambicji, uzależnienia... Ojciec Przybyszewskiej (Michał Czachor), z którym nigdy w rzeczywistości się nie zetknęła, ale którego widzimy na gnieźnieńskiej scenie, to z kolei przykład artysty odnoszącego sukces (zdobył to wszystko, czego jego córka nie miała), ale za cenę niepewności i stresu wynikających z nieustannego reżyserowania swojej kariery i instrumentalnego traktowania relacji międzyludzkich. Ich wyobrażone zderzenie na deskach teatru dobitnie ilustruje walkę starego z nowym, przeszłości z przyszłością.

Aktorzy stają na wysokości zadania. Przybyszewska Żurawskiej może budzić współczucie, ale niekoniecznie sympatię. To niewątpliwie silna kobieta, która bardzo dobrze wie, czego chce, a w jej uporczywym, maniackim wręcz poświęceniu się twórczości kryje się jakiś straceńczy heroizm, przeświecający przez Żurawską jasno jak księżyc w pełni. Trudno jednak zaprzeczyć, że jednocześnie jest to postać na wpół obłąkana i uparta jak osioł, dla której równie ważne jak to, o czym pisze, staje się obsesyjne dążenie do bycia sławną. W Przybyszewskiej splatają się więc ze sobą znamiona faktycznego geniuszu z grafomańską potrzebą kompulsywnego pisanego za wszelką cenę. Obsesja doprowadza artystkę do głodowej śmierci, a jak słyszymy ze sceny, skrajny perfekcjonizm to dziś jednostka chorobowa. Jak więc oceniać Przybyszewską? Podziw nad jej postawą powinien równoważyć się wątpliwościami wywołanymi pytaniem o to, czy warto wypruć sobie żyły i oddawać życie za coś, co jest

nic niewartą iluzją. Sukces, jak dowodzi Przybyszewski, to wypadkowa dobrych koneksji i inscenizowania swojej kariery, i nie da się go osiągnąć samym tworzeniem. Trzeba mieć jeszcze szczęście, a szczęściu można pomóc – najlepiej samemu.

Spektakl stara się unikać prostego wartościowania i przynajmniej pozornie wystrzega się nadmiernych uproszczeń. Postawa Przybyszewskiej jest tyleż heroiczna, co idiotyczna. Można ją interpretować w kategoriach romantycznego poświęcenia i wzniesienia się na wyżyny artyzmu, ale też jako przejaw obłądki, choroby, na którą XXI wiek zna skuteczne lekarstwa. Problem jednak tkwi w tym, że chociaż twórcy robią, co mogą, żeby odbrązować szkodliwy mit głodującego artysty-geniusza, to jednocześnie mitologizują i gloryfikują Przybyszewską, składającą siebie w ofierze sztuce. Negując wartość mitu wielkiego artysty w dyskusji o tak prozaicznych sprawach jak warunki pracy, czynią z Przybyszewskiej symbol walki o godność artystów – nie podważają więc wyobrażenia o wyjątkowości artysty i wartości twórczego powołania, a jedynie zmieniają detale jego treści. To kłopotliwe: czy przekonanie o tym, że sztuka wszystko usprawiedliwia (także niskie płace i brak ubezpieczenia), nie jest jednym z czynników przyczyniających się do trudnej pozycji artystów? Heroizowanie Przybyszewskiej sugeruje, że problem nie leży w niewłaściwie rozpoznanej roli artysty (i, na przykład, w szkodliwym mitologizowaniu jego postaci), a jedynie w samej treści otaczającego sztukę mitu. Przestańmy wierzyć w natchnionych, umierających z głodu wybrańców bogów; uwierzmy w to, że artystom należą się godziwe warunki pracy.

TEATR
IM. ALEKSANDRA
FREDRY
W GNIEŹNIE

*Czuję wstyd, żyjąc
w takim świecie*
Jolanta Janiczak

reżyseria
Wiktor Rubin
współpraca reżyserska,
dramaturgia
Jolanta Janiczak
scenografia, wideo
Łukasz Surowiec
kostiumy
Rafał Domagała
reżyseria światła
Monika Stolarska
muzyka
Krzysztof Kaliski

prapremiera
26 października 2024

Joanna Żurawska
[Stanisława
Przybyszewska]



foto: Dawid Stubię / Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie

Słowem, zastąpmy jedną utopię inną. Niby nie ma tu wielkiego problemu – to teatr krytyczny, walczący o pewną zmianę, więc trudno mu zarzucać, że twórcy mają jakąś propozycję tej zmiany – a jednak jest.

Zacznijmy od początku. W spektaklu pojawia się bardzo niewielu bohaterów, uwaga stale skupia się na Przybyszewskiej wchodzącej w interakcje z postaciami realnymi i wyobrażonymi. Przybyszewski to typ zmęczonego artysty, skoncentrowanego nie tyle na twórczości, co na zdobywaniu poklasku, chociaż nikt nie odmawia mu historycznego znaczenia. Czy było warto zostać meteorem na nieboskłonie kosztem psychiki i relacji międzyludzkich, w tym szczególnej relacji rodzica z dzieckiem? Pewnie nie. Nierównomierny nacisk położony na bohaterów sprawia, że postawa Przybyszewskiej ukazuje się jako moralnie czystsza i ostatecznie bardziej godna podziwu od postawy artysty, który musi kupczyć samym sobą na rynku społecznego uznania. Oboje jawią się podobnie tragicznie, ale to postawa Przybyszewskiej reprezentuje przyszłość. Ona jest ofiarą; chociaż dąży do poklasku tak samo jak ci, którzy potrafią go sobie wziąć przez manipulację i odpowiedni PR, to nie jest zdolna do „zaopiekowania” się swoją karierą – dlatego takim jak ona trzeba pomóc. Przybyszewska jest symbolem rewolucji w myśleniu; gdy pojawia się pierwszy raz na scenie,

ma na sobie trzy kolory rewolucji francuskiej reprezentujące zmianę, jaka miałyby nadejść też w świecie sztuki. Wolność tworzenia, równość szans, braterstwo środowiska. Piękna utopia, tylko dlaczego wynosi się Przybyszewską na piedestał, skoro sam fakt romantycznego stawiania artystów na piedestale ujawnia się w spektaklu jako szkodliwe złudzenie?

Twórcy w żaden sposób nie radzą sobie z wewnętrznym pęknięciem spektaklu. Może jednak nie muszą? Spektakl stawia wiele mądrych, głębokich i ważnych pytań, które same w sobie są ważniejsze od ewentualnych odpowiedzi. Ale, znów, Janiczak z Rubinem udzielają jednak odpowiedzi i nie zostawiają pola do dyskusji. Sytuacja artysty jest nie tylko zła; jest zawstydzająca dla każdego, kto ją sobie uświadomi, a spektakl przez bite dwięćdziesiąt minut stara się ten wstyd wzbudzić. Czy aby jednak na pewno to, co wywołuje wstyd, da się usunąć? Przecież, jak to wynika ze spektaklu, prawdziwa sztuka obroni się w końcu sama (Przybyszewska stała się lepiej znana i częściej wystawiana niż jej ojciec, unieśmiertelniony przede wszystkim na kartach podręczników do polskiego), a artyści pakują się w to, w czym żyją, na własne życzenie. Co tu więc ma powodować wstyd? Świat? Poczawszy od tytułu (zacierpniętego, notabene, z listów samej Przybyszewskiej), przez piosenkę śpiewaną przed pokazem

we foyer, aż po śledzoną z uwagą i współczuciem Przybyszewską – wszystko w spektaklu starannie ustawia w głowie odbiorcy emocjonalny stosunek do opowiadanej historii. Jest w tym coś taniego; jakby należało podkreślać grubymi liniami to, co teoretycznie powinno być czytelne bez krzyku i pisania wielkimi literami.

Pomimo zarysowanych wyżej wątpliwości spektakl nie jest nieudany. Jest zniuansowany, a to dobrze. Jest sprawnie zagrany, a to też dobrze. Jest trochę przegadany, ale to można wybaczyć ze względu na konwencję twórców i styl. Jest ciekawy plastycznie; co prawda gumowe szczury, którymi obrzuca się Przybyszewską, mogą wywołać zażenowane westchnięcie, ale ustawiony w tle sceny obiekt – dom Przybyszewskiej w fazie budowy – dosadnie pokazuje, że oparcie życia na jednej rzeczy (budynek w całości skonstruowano z ram okiennych) prowadzi do samych kłopotów. Przybyszewska buduje swój niepraktyczny dom z uporem godnym lepszej sprawy, a Robespierre (Maciej Hązła), o którym ciągle pisze swój niedokończony dramat, przygląda się jej z boku i zastanawia się, o co tej zwariowanej kobiecie tak naprawdę chodzi. Może o nic. Może w prawdziwej sztuce chodzi tylko o nią samą, a cały problem polega na tym, żeby ludzie, którzy chcą się nią zajmować, mogli to robić bez przeszkód? ■